



# EDWARD LEE LUDZIE Z BAGIEN

PISARSTWO EDWARDA LEE JEST JAK PIŁA MECHANICZNA NA PEŁNYCH  
OBROTACH. JEŚLI PODEJDZIESZ ZBYT BLISKO, URZŃIE CI NOGI.

- JACK KETCHUM

Replika

**Edward Lee**

**„Ludzie z bagien”**

**przeł. Maksymilian Tumidajewicz**

**[fragment]**

### **Prolog**

Szorstkie dłonie rozbierały ją przed pękniętym lustrem.

– Jesteś najdoskonalsza z nas wszystkich – odezwał się równie szorstki szept przy jej uchu. Oddech był gorący, podobnie jak słowa.

Ale później do jej świadomości wśliznęły się inne głosy.

Tak doskonała...

Tak godna...

Tak piękna...

– Taaak... – zamruczał głos za nią.

Tak piękna... dla Niego.

Salon oświetlało jedynie kilka krzywych świateł. Widziała swoje odbicie w lustrze, widziała w nim też odzianą w czerń sylwetkę Wielebnego, który przypominał groteskowy cień. Opadający kaptur szaty zasłaniał jego twarz.

– Tak piękna dla Niego – wyszeptał.

Piękna, pomyślała. Tak, to prawda. Dużo piękniejsza od pozostałych dziewcząt. Czysta. Tak nazywali tych nielicznych, którzy urodzili się tacy jak ona. Czyste dziecko. Czysta dziewczynka. Czysta kobieta. Tak niewielu czystych się urodziło...

Duże dłonie Wielebnego zdejmowały z niej poprzecieraną sukienkę niczym przegniły opatrunek. Nie drgnęła. To, że ją rozbierano, nie było dla niej niczym nowym. Przywykła do tego oraz do rzeczy, które zawsze następowały później. Teraz jej nagość jaśniała na tle ciemnych pęknięć lustra. Eleganckie, kobiece linie, pozbawiona skaz skóra, długie nogi, dumnie wzniesione pełne piersi. Włosy czarne i lśniące jak jedwab okalały jej uderzająco piękną, dziewczęcą twarz. Kiedyś spytała, czemu mężczyźni z miasteczka płacili za nią tak mało, o wiele mniej niż za inne.

– Boś czysta – powiedziano jej. – Nie takie szkaradło, jak reszta. Aż trudno poznać, żeś Bagnowa... Tylko po oczach.

Nigdy tego nie rozumiała. Skoro była ładniejsza, to powinni chyba płacić więcej? Ale ta noc była inna. Czuła to. Nie było tu dziś żadnych mężczyzn z miasteczka, a coś niewidzialnego w powietrzu zdawało się pełzać po jej skórze, zupełnie jak biedronki, które oblaży ją, kiedy zasnęła niedaleko między Crolla.

Wreszcie udało się nam tego dokonać, po tak długim czasie...

– Wreszcie... – wyszeptał Wielebny.

A wtedy w jej głowie obudziły się inne głosy.

Ona-wielona!

Waj-by-przy!

Ona-wielona!

Kiedy dziewczyna była już całkiem naga, dłoń Wielebnego przeczesła jej kruczoczarne włosy, odgarniając je przed jej oczu.

Jej spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem odbicia...

Jej oczy, jasne i czyste. Wogromnych tęczęwkach dało się dostrzec jedynie delikatny błysk czerwieni...

Później zawołano ją... na górę. Czuła się dziwnie, kręciło jej się w głowie. Stare schody skrzypiały pod jej stopami, gdy dłonie Wielebnego kierowały ją na górny podest. Gdy przechodziła, dłonie innych wysuwały się, by jej dotknąć.

A żar tej letniej nocy momentalnie pokrył jej skórę potem.

– Tak, jesteś najdoskonalsza z nas wszystkich...

Więc ruszaj i przynieś nam błogosławieństwo. Drzwi zamknęły się za nią. Długie, wysokie pomieszczenie oświetlał jedynie zaglądający w okno księżyc. Wyczuła dziwny zapach, a gdy jej wzrok przywykł do ciemności, dostrzegła na zakurzonych deskach podłogi jakieś nierozpoznawalne kształty.

Wtedy coś się poruszyło.

A z otchłani mroku wynurzył się mężczyzna.

Był to najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziała.

Wysoki i szczupły, o mistrzowsko wyrzeźbionych muskułach i silnych ramionach, stojący pewnie na mocnych nogach.

Obrócił ku niej ciepłe spojrzenie.

Nie wypowiedział ani słowa.

Był zupełnie inny niż mężczyźni, którzy zwykle do niej przychodzili. Mężczyźni, którzy wymierzali jej razy, ciągnęli za włosy, pluli i gryźli jej sutki, aż zaczynała krzyczeć. Był uroczy, delikatny.

Dotyk jego miękkich dłoni na jej piersiach wypełniał ją ciepłem, nie obrzydzeniem.

A kiedy ją pocałował...

Przez jej umysł przepłynęły wizje. Wrażenia. Fale miłości bardziej intensywne niż skwar słońca w południe. Czułe dłonie ułożyły ją na podłodze. Jego uśmiech wydawał się jasny, niczym aureola. Mówił do niej, nie otwierając ust. Mówił jej, jaka jest piękna, jaka ważna i jak bardzo ją kochał, bardziej niż kogokolwiek wcześniej. Mówił jej rzeczy, które tak bardzo zawsze chciała usłyszeć. Odgrzebywał z kurzu jej dawno zapomniane marzenia, przypominał niespełnione obietnice. Niespełnione aż do teraz.

Bo teraz... On z nią był.

Jej rozkosze były nieopisane. Orgazmy trzęsły jej całym ciałem. Każdy ładunek nasienia, który składał w jej kobiecości, był niczym drogocenny dar. Wypełniał ją po brzegi – uniesieniem, współczuciem, prawdziwą miłością. Jestem zakochana, myślała przy każdym uderzeniu swojego serca, przy każdym uderzeniu jego serca. Zanurzył się w nią o wiele głębiej niż jakikolwiek mężczyzna wcześniej i robił to o wiele dłużej, uwalniając w jej ciele przyjemności, których istnienia nigdy nie podejrzewała. W pewnym momencie uklęknął wyprostowany pomiędzy jej rozchyłonymi nogami. Jego piękny członek znowu pulsował dla niej. Był wielki, lekko wygięty i wspaniały. Jej ręce gorączkowo sięgnęły ku niemu, boleśnie pragnąc poczuć jego twardość.

Był tak gorący, że niemal parzył.

Uniosła błagalne spojrzenie ku jego twarzy. Płakała, była taka szczęśliwa, tak przepelniona miłością.

Bez słów zapewnił ją, że nie będzie nigdy kochał innej kobiety.

Ty jesteś tą jedyną, przysięgał.

Ujęła twarde, rozpalony członek i skierowała go w dół, by znowu w nią wszedł. Jej piersi zafalowały. Westchnęła głośno, wykrzykując swoją rozkosz w noc. Jej nogi owinęły się wokół jego pięknego, silnego ciała.

Pragnę twojej miłości, wydyszała w myślach.

Dostaniesz ją, odpowiedziały jego myśli. Oj, tak... Minęły godziny. Leżała wyczerpana ekstazą na wilgotnych od potu, ciepłych deskach. Nadal wyciekało z niej jego nasienie.

Stoczył się z niej w końcu i złożył delikatny pocałunek na jej szyi i piersiach. A potem odsunął się... Jej błaganie brzmiało bezsilnie, żałośnie; ledwie była w stanie mówić.

– Nie zostawiaj mnie! – jęknęła.

Wyprostował się i stanął w kącie koło okna. Pot na jego muskułach lśnił w świetle księżyca. Wydawał się ulany ze srebra.

Wyglądał jak anioł.

Przekleństwo...

Wtedy znowu zauważyła dziwne kształty w narożniku pomieszczenia.

Czym były? Co tu robiły?

Drzwi otworzyły się szybko. Inni włali się do pomieszczenia, dzierżąc świece. Podniósł się chór głosów.

Ona-wielona!

Odkupicielu...

Dzięki ci składamy!

Pobłogostaw...

Naprzód wystąpił Wielebny w swym habicie koloru sadzy. Uklęknął przed nagim mężczyzną, który stał przy oknie.

Pobłogostaw i uświęć nas. Ukaż nam drogę i podtrzymaj naszą jedność, uniżenie Cię błagamy. Oczy dziewczyny rozszerzyły się, błyszcząc w migotliwym świetle, gdy jej kochanek obrócił się powoli. Wydawał się odmieniony.

Jego aura – ta piękna aureola – pociemniała, przybierając ponury odcień. Adonisowe muskuły poczerwieniały, napuchły, skóra stała się kostropata. Szlachetne linie twarzy wykrzywiły się pod nieprzyjemnymi kątami, głębokie bruzdy przecięły wysokie czoło.

To niemożliwe, myślała. To na pewno przez ten mrok. Oczywiście, mrok, jej słodkie wyczerpanie i ten dziwny odcień, który nadawały pomieszczeniu ogniki świateł.

Ciała naszego powszedniego daj nam dzisiaj...

Podnieśli ją. Trzymając ją na rękach, zaczęli kierować się ku wyjściu, ale nie dość szybko, by nie zdążyła wreszcie zauważyć, czym były dziwne kształty w kącie pomieszczenia. Były to...

Ciała, pojęła wreszcie. Martwe ciała.

Ona-wielona! – zawyły radośnie obleśne głosy. Daj-nam-dziś! Błag-cię-my!

Uniesiona w górę, trzymana na rękach, patrzyła przez chwilę na ciała, po czym zemdlała, bo jej kochanek – przedtem piękny, teraz odrażający – ukląkł wśród świeżych, martwych ciał i zaczął się posilać.

## **Jeden**

Porucznik Philip Straker jeszcze raz sprawdził cylinder swojego Smith & Wessona Model 65. Wpadamy w paranoję, Phil? – zapytał sam siebie. Bo co, naboje mogły gdzieś poznikać? Zabrała je dobra wróżka, kiedy nie patrzyłeś? Wykonany z nierdzewnej stali cylinder zaśnił. Nadal zawierał sześć nabołów Remington +P+ kalibru 0,38 cala. Dobrze naoliwiony mechanizm zatrzasnął się z cichym szcęknięciem.

Szarża miała jednak swoje przywileje. Cała reszta ekipy nosiła Glocki. Phil gotował się wewnątrz kewlarowej kamizelki, ale tylko idiota wybierałby się bez pancerza na akcję przeciwko gangom narkotykowym. Wnętrze furgonetki – nazywali je „wozami bojowymi” – skąpane było w czerwonej poświacie noktowizorów.

Jedną ścianę pokrywał szczelnie ekwipunek komunikacyjny, drugą – szeroki zestaw broni. Karabiny AR-15, pistolety maszynowe MP-5, karabin snajperski z podczerwoną optyką i dość broni krótkiej, by zorganizować wystawę. Było tu z nim dwóch gości z Wydziału Operacji Specjalnych: Elliot, jeden z dowódców oddziałów, oraz „strzelec”, jakiś eksmarines o mało prawdopodobnym imieniu Cap. Siedział nieruchomo, jakby kij połknął, ściskając swoje AR-15A2. Philip słyszał, że młody potrafi zestrzeliwać wiśnie z drzewa z odległości siedmiuset metrów. Było to jakimś pocieszeniem, ale i ponurym przypomnieniem, że zapewne dojdzie dziś do strzelaniny. Phil świetnie zdawał sobie z tego sprawę. Przy akcjach na wytwórnie narkotyków zawsze tak było. Dranie wiedzą, że ich dorwaliśmy, ale i tak walczą. Jeśli strzelasz do antyterrorysty, giniesz, ale skurwielom wydaje się to nie przeszkadzać. Równie dobrze można by iść na czołwękę z buldożerem D8, siedząc w garbusie.

- Sprawdź łączność – poinstruował Elliota. – Co ten Dignazio tam wyczynia tyle czasu...
- Pewnie dręczy patafiana, sir – zasugerował Cap, młodociany snajper. – Albo pyta go, co robić.
- Jak będzie dalej się tak ociągał, spóźnię się na mecz Jankesów.

Elliot przeprowadził test łączności w swoim oddziale. Oddział Dignazia wchodził pierwszy, żeby

zablokować wyjścia, które znaleźli na planach budynku. Później Phil miał wpuścić swoich ludzi od frontu i pozamiatać w środku. Dignazio wkurzał go od zawsze. Pewnie specjalnie to wszystko przeciąga tylko po to, żebym musiał dłużej gotować się w tej kamizelce, pomyślał Phil. W wieku trzydziestu pięć lat Phil Straker miał za miesiąc awansować na kapitana. Nie ulegało wątpliwości, że do czterdziestki zostanie zastępcą szefa. Otrzymał trzy medale za odwagę oraz odznaczenie za wzorową służbę, nie wspominając już o pół tuzinie listów rekomendacyjnych od burmistrza. Ciężka praca nad licencjatem z kryminologii wyciągnęła go z zapadłej dziury, gdzie się urodził, i otworzyła drzwi do wymarzonej pracy w wielkomijskim departamencie policji. Nie spoczął jednak na laurach, po nocach pracując nad magisterką, żyjąc mózgu na ulicach i pnąc się po szczeblach kariery szybciej niż ktokolwiek inny w historii departamentu. Prawie się zesrał, by przyjęli go do wydziału narkotykowego, ale teraz to on wydawał polecenia, a inni słuchali. Phil nienawidził narkotyków. Przez pięć lat jeździł po Trzeciej Dzielnicy i poznał prawdę. Bossowie i macherzy, którzy mieli wszystkich w dupie. Gangi uliczne, które zatrudniały jebanych prawników z największych kancelarii w kraju. Drobnicy dilerzy wieszani głową w dół i patroszeni jak świnie za kręcenie na boku. Sześciolatki uzależnieni od heroiny przez lokalnych handlarzy. Phil nigdy nie podejrzewał, że może istnieć takie zło...

– Łączność sprawdzona, sir – obwieścił Elliot ze swojego fotela w zalanej czerwonym światłem furgonetce. – Sierżant Dignazio każe czekać jeszcze pięć minut, po czym wyważą drzwi.

– Zwyczajnie leci w chuja, sir – skomentował młody.

– Wiem – powiedział Phil. – To z mojego powodu. Staremu draniowi staje na mój widok, odkąd się poznaliśmy. Pewnie też byłbym wkurzony, gdyby zostanie sierżantem zajęło mi dziewiętnaście lat.

– Fama głosi, sir – dołączył się Elliot – że Dignazio opowiada wszystkim, iż pańskie stanowisko należało się właśnie jemu.

Phil roześmiał się, chowając spluwę.

– Powiedz mi jeszcze coś, czego nie wiem, na przykład, że goryle są włochate.

Miał to gdzieś. Gdyby Dignazio zasłużył na szlify porucznika, o już by je miał. Na miłość boską, nie będę płakał po tym zjebie. Może gdyby mniej chlał, a więcej zapierdalał, to ja wykonywałbym teraz jego rozkazy.

– Zielone światło – przerwał mu rozmyślenia Elliot, ściągając słuchawki.

Wyskoczyli na zewnątrz przez tylne drzwi furgonetki.

– Wydział techniczny rozwiertł już zamki. Wchodzimy ładko i po cichu – powiedział Phil, idąc na przód. – Patrzcie, do kogo celujecie, i nie wchodźcie sobie na linię strzału. I, na miłość boską, uważajcie na dzieciaki.

Ekipa z U-licy, podobnie jak wszystkie gangi narkotykowe, żywała dzieci w charakterze czujek i dilerów, ponieważ ich zeznania nie mogły stanowić dowodu w sądzie, no i nie można ich było

sądzić jak dorosłych. Parę lat w poprawczaku i wracali na ulicę. Człowiek musiał uważać.

– A co mam robić, jak jakiś jedenastolatek wyceluje we mnie spluwę? – zapytał Cap.

– Jesteś snajperem z marines, Cap, a nie panienką – powiedział Phil. – Boisz się dzieci?

– Nie, sir.

– Więc będziesz strzelać im nad głowami. Celuj w ramiona biodra, jeśli musisz, ale nie zabijaj żadnych dzieci, kiedy ja tu dowodzę. Kurwa, Cap, masz na sobie tytanowy pancerz, który jest w stanie zatrzymać siedem sześćdziesiąt dwa, a w Zatoce miałeś potwierdzone trafienia z półtora kilometra. Nie będziesz miał żadnej wymówki, jeśli rozwalisz jakiegoś bachora. To dla ciebie jakiś problem, Cap?

– Nie, sir.

– To dobrze.

Wtedy wtrącił się Elliot, który przeładowywał właśnie swoje MP-5.

– Te dupki z U-licy mają uzinki, MAC-e i kupę innego żelastwa.

Co z dorosłymi?

Phil skierował na niego spojrzenie.

– To wytwórnia PCP, Bob. Ci skurwiele niszczą ludzi szybciej, niż Dignazio obala flaszki szkockiej. Mówię to do was obu – jeśli jakiś dorosły będzie chociaż wyglądał, jakby podnosił na was giwerę, udekorujcie ścianę jego mózgiem.

– Przyjąłem, sir – potwierdził Elliot. Cap kiwnął głową.

Po czym wślizgnęli się przez drzwi do środka.

Smród węglowodorów kopnął Phila w twarz. Chłopaki z wydziału śledczego tym razem się nie pomyliły. Chyba że goście mają licencję na produkcję eteru w starym magazynie, pomyślał.

Wszystkie znaki wskazywały na to, że mieściła się tu wytwórnia.

– Cicho – szepnął. Trzymał swój Model 65 w pogotowiu.

– I nie szurać mi buciorami. Nie chcemy im się anonsować, no nie? A ty, Cap, trzymaj ten laser przy ziemi, póki się nie zacznie.

Szło prawie aż za łatwo. Przeszli głównym korytarzem, później skierowali się w lewo, następnie w prawo. Wszystko wyglądało tak, jak na planach budynku. Nagle znaleźli się na zawieszonym trzy metry nad ziemią chodniku z widokiem na największą wytwórnię PCP, w jakiej Phil kiedykolwiek się znalazł. Na dole, w blasku rzędów światełek, ciężko harował jakiś tuzin mend.

– Nie strzelajcie, jeśli będą wiać – wyszeptał Phil. – Tylko wtedy, kiedy zaczną do nas walić. Ekipa Dignazio obstawia wszystkie wyjścia.

Obaj antyterrorysty Phila przytaknęli w milczeniu i zajęli osłonięte pozycje strzeleckie za dźwigarami dachu i chodnika.

Czas zrobić coś, co wymaga posiadania jaj, pomyślał Phil. Dumnie stanął na środku kładki, uniósł megafon i oznajmił spokojnym tonem:



– NIE RUSZAĆ SIĘ. NAZYWAMSIĘ PORUCZNIK PHILIP STRAKER Z WYDZIAŁU NARKOTYKOWEGO POLICJI MIEJSKIEJ I Z RADOSNYM UNIESIENIEM OZNAJMIAM, ŻE WSZYSCY JESTEŚCIE ARESZTOWANI. MAM TU PIĘĆDZIESIĘCIU POLICJANTÓW, KTÓRZY OTACZAJĄ CAŁY OBIEKT, A PRZY KAŻDYM WYJŚCIU CZEKA DWÓCH GOŚCI, KTÓRYCH ŚWIERZBIĄ RĘCE, ŻEBY KOGOŚ ZABIĆ. PODNIEŚCIE RĘCE DO GÓRY I NAWET NIE DRGNIJCIE. KTOKOLWIEK CHOĆBY POMYŚLI, ŻEBY COŚ ZROBIĆ, OPUŚCI BUDYNEK NOGAMI DO PRZODU.

A potem pomyślał sobie: Ci goście zrobili się chyba miękcy na starość.

Wszyscy podnieśli głowy, zaczęli się na niego gapić i jak jeden mąż unieśli ręce. Nikt się nie poruszył. Nie zabrzmiał nawet jeden wystrzał.

Wyglądało to jak na stop-klatce. Jednak obejrzą mecz Jankesów, pomyślał Phil. Kilka sekund później do akcji wkroczyli antyterrorysty, zabezpieczając teren dla mundurowych. Nikt się nie poruszył, nie wydzierano nikomu broni, bo też żadna nie pojawiła się w polu widzenia.

– Jasna cholera, sir – skomentował Elliot. – Zdażymy jeszcze obejrzeć wszystkie dziesięć tancerek w Camelot.

– Myśle, że masz rację, Bob. Ja stawiam. Daj mi tylko chwilę, żebym znalazł Dignazia. Niech zajmie się papierkami, a my spadamy.

Więcej tu sprzętu naukowego niż w szkolnej pracowni chemicznej, stwierdził Phil, schodząc po schodach i krocząc między stanowiskami pracy. Mundurowi z Szóstej Dzielnicy skuwali aresztowanych tak szybko i sprawnie, że wyglądało to jak jakaś forma sztuki. Pewnie też są fanami Jankesów. Dignazio, flankowany przez parę golemów z MP-5, został z tyłu, przy wyjściu dostawczym.

– Hej, Dig – powiedział Phil, przynajmniej próbując zachowywać się przyjaźnie. – Wygląda na to, że udało się nam bez żadnej obsuwy.

– Udało się mi i moim ludziom. Ty tylko wlałeś na kładkę i pocisnąłeś parę pierdół.

Phil uśmiechnął się krzywo. Typowe.

– Niech będzie, Dig. Zajmij się resztą. Sprawdziliście wszystkie pomieszczenia?

– Nie będziesz mi mówił, jak mam wykonywać swoją robotę, Straker.

Sierżant wbił w niego spojrzenie; gotów do walki, żyłasty, o twarzy bardziej pooranej niż oryginał Mona Lisy. Następnie ruszył w swoją stronę, zabierając obu strzelców. A potem...

Dzyń.

Phil obrócił gwałtownie głowę.

Spojrzał w głąb pomieszczenia, wyęzając wzrok. Zdawało mu się, że dostrzegł jakiś ruch. Cień?

Nie...

Jakiś refleks światła?

Co to, kurwa, było?

Nim Phil zdażył zrobić tuzin kroków w głąb ciemnego pomieszczenia, zrozumiał, że to nie było coś,

ale ktoś.

Wyglądało to jak jakiś mały cień przemykający od jednych otwartych drzwi do drugich.

Czujka, pomyślał. Dzieciak.

Phil wyciągnął zza paska latarkę, po czym ruszył zakurzonym, wyłożonym linoleum korytarzem. Krąg światła błąkał się po ścianach.

I wtedy...

– Jezu!

Dzieciak wyskoczył z jednego z bocznych pomieszczeń i puścił się sprintem ku drzwiom ze zgaszonym napisem WYJŚCIE, gorączkowo przebierając nogami.

Policjanci zdążyli już zamknąć te drzwi od zewnątrz łańcuchem.

– Nie wygłupiaj się, młody. Tędy nie uciekniesz. Chodź tu, pogadamy, dobra? Nie będę się dopierdalał, obiecuję.

Smutno było patrzeć, jak gangi narkotykowe indoktrynują te dzieciaki, by pomagały im w prowadzeniu interesów. Oczywiście wyrastały na kryminalistów – to była jedyna droga, jaką znały. A ile ten miał lat? Dziesięć? Dwanaście? Jezu, pomyślał Phil ponuro.

Chłopak uderzył w drzwi, stwierdził, że są zamknięte, i odwrócił się. Jego oczy były rozszerzone z przerażenia.

Wyglądał na jakieś siedem czy osiem lat.

– Spokojnie, nie zrobię ci krzywdy – zapewnił go Phil. – Ale musisz tu podejść, żebyśmy mogli załatwić tę sprawę.

W świetle latarki Phila twarz chłopca wyglądała jak mroczna czaszka. Na chudych, ciemnych policzkach błyszczały łzy. Jest w chuj spanikowany, bez dwóch zdań, zrozumiał Phil. Najgorsze było to, że sąd dzielnicowy wsadzał takie dzieciaki do domu dziecka, skąd w dziewięciu przypadkach na dziesięć uciekały z powrotem na ulicę przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Musisz teraz pójść ze mną – powiedział Phil.

Nie miał pojęcia, co się za chwilę wydarzy. Nie zdążył nawet zauważyć, jak młody wyciąga broń. Jego uszy zaatakował tak dobrze, zbyt dobrze, znany odgłos strzałów z małokalibrowego pistoletu. Pif-paf! Pif-paf!

Wszystko pogrążyło się w chaosie. Ostre, krótkie błyski zatańczyły mu przed oczami. Philowi ledwie starczyło czasu, by zaufać instynktowi, który rzucił go za pustą beczkę na ścieki.

Latarka potoczyła się po cementowej podłodze. Kolejny pocisk uderzył z brzękiem w beczkę. Sięgnął po służbowy rewolwer.

– Jasna cholera, młody! Odbiło ci?

Po czym strzelił mu nad głowę.

I dzieciak opuścił broń.

Jak mogłem być taki głupi? Za dużo myślałem o cholernych Jankesach.

Sekundę później dwóch antyterrorystów oświetliło mroczny korytarz.

– Nie strzelać! – wrzasnął Phil. – To tylko dzieciak!

W korytarzu pojawiło się więcej gliniarzy.

– W porządku, panie poruczniku? – zapytał Eliot, pomagając mu wstać.

– Ze mną tak – odparł Phil. – Ale nie jestem pewien, jak z moimi gaciami.

– Co się stało?

– Tylko jakiś spanikowany dzieciak. Strzeliłem mu nad głowę.

Ale Elliot odpowiedział mu dziwnym spojrzeniem, a z głębi korytarza dobiegły głosy, wzywające karetkę.

Nie, nie, pomyślał Phil i sam rzucił się biegiem w tamtą stronę.

Przysięgam na Boga, że strzeliłem mu nad głowę!

Do korytarza wpadło jeszcze więcej gliniarzy. Światła latarek tańczyły na ścianach.

– Ponad głowę, co? – Dignazio był tuż za nim. Wlepił spojrzenie w Phila. – Nieźle żeś go urządził, Straker. Zastępca szefa będzie wniebowzięty.

Dobry Boże Wszechmogący, myślał Phil, a w jego umyśle słowa te brzmiały jak jęki starego domu chłostanego przez wicher.

Chłopak leżał przed zamkniętymi na łańcuch drzwi, a z rany w jego prawej piersi wypływała pulsująca krew. Był martwy, nim położyli go na nosze...

Phil sięgnął pamięcią wstecz. Sześć miesięcy temu był porucznikiem policji miejskiej, o krok od awansu na kapitana, a teraz pracuje jako nocny stróż za siedem i pół dolara za godzinę. Wydział Spraw Wewnętrznych zaklasyfikował zdarzenie jako usprawiedliwione sytuacją zabójstwo, chociaż Phil przysięgał na wszystkie świętości, że celował wysoko ponad głowę chłopca. Główny śledczy odparł, że nie dość wysoko. Ale to nie dlatego odszedł z policji...

Dignazio, pomyślał.

To musiała być sprawka Dignazio.

Głównym śledczym z ramienia Wydziału Spraw Wewnętrznych był przypierdalający się do wszystkiego dupek o kamiennej twarzy i nazwisku Noyle.

– Poruczniku, jaką amunicję miał pan w pańskim służbowym rewolwerze podczas interesującej nas nocy? – zapytał.

– 0,38 cala plus P plus – odparł Phil, nieco zdenerwowany zbędnym pytaniem.

– 0,38 cala plus P plus. Hmm. A jaką amunicję pana departament dopuścił do użytku w służbowej broni krótkiej?

– Dziewięć milimetrów pełnopłaszczową, oraz 0,38 cala...

– 0,38 cala plus P plus?

– Tak.

– Czy pański departament zezwala na używanie w służbowej broni krótkiej jakiegokolwiek innej amunicji, poruczniku?

Do czego on, do diabła, zmierza, zastanawiał się Phil. Czemu zadawał mu te wszystkie niepotrzebne

pytania?

– Tylko personelowi Wydziału Operacji Specjalnych – odparł.

– Ale jedynie po autoryzacji przez Komisarza Wydziału Operacji Specjalnych.

– A czy jest pan funkcjonariuszem Wydziału Operacji Specjalnych, poruczniku?

– Nie – odparł Phil. – Jestem z Wydziału Narkotykowego.

– A czy interesującej nas nocy otrzymał pan z jakiegoś powodu autoryzację Komisarza Wydziału Operacji Specjalnych na używanie w pańskim służbowym rewolwerze amunicji innej niż 0,38 cala plus P plus?

Phil z trudem opanował grymas irytacji.

– Nie.

Noyle odchylił się w swoim krześle, siedząc pośrodku stołu konferencyjnego niczym Cezar dla ubogich, flankowany z lewej i prawej przez Kasjusza i Brutusa. Jego stalowe oczy nie mrugnęły dotąd ani razu.

– Poruczniku, wie pan, co to takiego quad?

Czemu pyta mnie teraz o quady! Zaczynało się to robić naprawdę denerwujące.

– Tak – odparł z pewnym rozdrażnieniem w głosie. – Quad to specjalny rodzaj naboju.

– A dlaczego jest taki „specjalny”?

– Ponieważ wystrzeliwuje cztery cylindryczne pociski zamiast pojedynczej kuli.

– A czemu to służy? – zapytał Noyle.

– Zwiększeniu siły obalającej. Przy trafieniu pociski rozdzielają się i rozpraszają wewnątrz celu.

Innymi słowy, quady powodują o wiele większe obrażenia niż standardowe kule.

– Coś jakby kule dum-dum.

– Tak – odparł Phil. – Fabrycznie zrobione dum-dumy, można powiedzieć... Ale, sir, jeśli można, to czemu służą te pytania? Jeśli chce pan pytać o rodzaje amunicji taktycznej, lepiej byłoby porozmawiać z szefem strzelnicy albo zbrojmistrzem Wydziału Operacji Specjalnych.

Noyle ostentacyjnie zignorował pytanie Phila.

– Poruczniku, czy słyszał pan o przypadku, żeby quady zostały lub miały zostać dopuszczone do użytkowania przez dowolnego funkcjonariusza tego departamentu?

– Nie – powiedział Phil.

– Nie, poruczniku?

Zapadła krótka cisza, po czym Noyle porozumiał się szeptem z pozostałymi przedstawicielami WSW. Phil wykorzystał ten moment, by spróbować odczytać coś z ich twarzy. Wszyscy wyglądali tak samo: podobne garnitury, podobnie wyprane z emocji spojrzenia.

Wyglądali niczym inkwizytorzy, a Phil czuł się jak czarownik oskarżony o herezję.

Co tu się, na Boga, dzieje?

Szczurze oczka Noyle’a skierowały się ponownie na twarz Phila.

– Poruczniku, właśnie przyznał pan przede mną i pozostałymi oficerami prowadzącymi przesłuchanie,

że quady nie są dopuszczone do użycia przez funkcjonariuszy pańskiego departamentu.

– Tak – powiedział Phil. Zaczęło robić mu się gorąco. Swędziała go skóra.

– Więc dlaczego pan ich używał?

Pytanie runęło na niego jak ceglana ściana. Zaczął się gotować w środku. Wykręcił złożone na podołku pięści.

– Nie używałem quadów – oznajmił bardzo powoli. Gdyby nie mówił powoli, wpadłby w gniew, a utrata panowania nad sobą w obecności trzech oficerów WSW była ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował. Te trzy pokerowe twarze należały do lokalnej ekipy od urywania jaj. Wziął głęboki oddech, wypuścił powietrze i powtórzył:

– Nie używałem quadów. Nigdy nie załadowałem tego typu amunicji do swojej broni ani na służbie, ani poza nią. A jeśli chce pan znać prawdę, to zaczynam mieć mętlik w głowie. Nie mam zielonego pojęcia, do czego ma prowadzić tak prowadzone przesłuchanie.

– Podobnie jak my – wszedł mu w słowo Noyle – nie mamy zielonego pojęcia, co myśleć o pańskich dzisiejszych zeznaniach.

Mamy wrażenie, że pan kłamie.

Phil pochylił się ponad stołem.

– Słucham?

– Poruczniku, czy nie jest standardową procedurą, by posyłać na zwolnienie funkcjonariusza, który wziął udział w strzelaninie?

– Tak – odparł Phil. – Udałem się na takie zwolnienie.

– I co jeszcze pan zrobił? Czy protokół nie każe, by w takim wypadku funkcjonariusz zdał swoją służbową broń?

– Tak, najwyższemu stopniem funkcjonariuszowi, który znajduje się na miejscu. Tak właśnie zrobiłem. Natychmiast. Jeśli sądzicie, że tamtej nocy używałem quadów, sprawdźcie mój służbowy rewolwer. Jest pod kluczem w magazynie. Otwórzcie go i zajrzyjcie do bębinka, sprawdźcie załadowaną amunicję.

Noyle odchrząknął – dla formalności, nie z potrzeby.

– Dokładnie to zrobiliśmy, poruczniku, i znaleźliśmy pustą łuskę w komorze numer jeden. Komory numer dwa do sześć załadowane były quadami kalibru 0,38 cala.

– To jakieś, kurwa, bzdury! – krzyknął Phil, zrywając się na nogi. – Nie, poruczniku. Nazywamy to dowodami – poinformował go Noyle. – Podobnie jak raport z sekcji zwłok złożony przez dzielnicowego patologa.

– O czym pan, do cholery, mówi? – Każde słowo Phila było niczym wykrztuszony z jego krtani kamień.

– O chłopcu, którego pan zastrzelił. – Noyle przerwał na moment, by poprawić krawat. – Według raportu z sekcji zwłok został postrzelony w górną część torsu, tuż powyżej prawego płuca.

Przy uderzeniu pocisk rozerwał się na, zacytuje, „cztery części kalibru 0,38 cala, z których dwie

opuściły ciało przez górną prawą część klatki piersiowej. Trzeci kawałek ześlizgnął się po brzusznej stronie kręgosłupa i utkwił w lewej części kielicha lewej nerki.

Czwarty przebił aortę”.

Noyle odchrząknął jeszcze raz i podniósł oczy na Phila.

– Zbrojmistrz z Wydziału Operacji Specjalnych zidentyfikował wzmiankowane fragmenty jako resztki niedozwolonego pocisku typu quad, poruczniku. System identyfikacji balistycznej potwierdził, że został on wystrzelony z pańskiej broni. A dzielnicowy patolog stwierdził, że bezpośrednią przyczyną śmierci ofiary było użycie tej właśnie amunicji. Innymi słowy, poruczniku, gdyby tamtej nocy używał pan standardowej, zatwierdzonej do użycia amunicji, ten ośmiolatek nadal by żył...

Nadal by żył. Ostatnie słowa Noyle’a rozbrzmiewały teraz w głowie Phila, nawet po kilku miesiącach od chwili, w której padły. Z początku próbował walczyć z wnioskami WSW, ale sprawa była z góry przegrana. Phil wiedział, że Dignazio jakoś go w to wrobił, ale jak miał tego dowieść? Tydzień później Phil osobiście stanął przed obliczem komisarza.

–Masz teraz dwie opcje, Straker – usłyszał. –Możesz trzymać się tej swojej idiotycznej historyjki o tym, jak to cię wrobiono, a wtedy prokurator rejonowy oskarży cię o niedopełnienie obowiązków, używanie niedozwolonej i niebezpiecznej amunicji z premedytacją oraz, w najlepszym wypadku, zabójstwo drugiego stopnia.

– A jaka jest druga opcja?

– Możesz odejść. Oczywiście zajście zostanie zapisane w twoich aktach, ale nie staniesz przed sądem. Rusz głową, synu. Oddaj odznakę.

I tak też Phil zrobił. Komisarz miał rację. Nie było innego wyjścia. Gdyby postanowił walczyć z oskarżeniami, sprawa trafiłaby do sądu. A ponieważ nie miał żadnego solidnego dowodu na to, że Dignazio go wrobił, orzeczono by jego winę. Dostałby co najmniej rok, a jeśli wiedział coś na pewno, to że gliniarze nie przeżywali w pace nawet miesiąca.

I tak oto trafiłem tutaj, pomyślał, stojąc o drugiej w nocy w fabryce tekstylnej. Z wilczym biletem w kieszeni. Wpisany na czarną listę. Żaden departament policji w kraju nie będzie chciał mieć z nim nic wspólnego, nie z tym gównem, które wpisano mu do akt. W wieku trzydziestu pięciu lat jego błyskotliwa kariera w policji dobiegła końca, dyplom stał się bezwartościowy, a ponad dekada ciężkiej pracy zmieniła się w kupkę popiołu.

Niemal się roześmiał. No dobra, więc jako gliniarz jestem skończony.

Teraz mam nową karierę, jako stróż nocny, od dwunastej do ósmej rano, siedem pięćdziesiąt za godzinę. Lepsze to niż siedzenie w pace...

Sama praca nie wymagała szczególnego wysiłku intelektualnego.

Podejrzewał, że mógłby ją wykonywać dobrze wytresowany szympan. Praca w ochronie była jedynym zajęciem, które jakoś pasowało do jego wykształcenia i zainteresowań, a Preventive Security, Inc. było jedyną firmą w stanie, która dała mu pracę pomimo zszarganej reputacji. Robota była prosta:

co godzinę naciskał guzik na fabrycznym zegarze. Przez resztę czasu siedział w biurze, pił dietetyczną Pepsi i czytał książki.

– Łatwizna – obiecywał jego nowy szef. – Nie mieliśmy tu włamania od dwudziestu lat.

Ciekawa robota.

Wtedy zawył alarm.

– To tyle, jeśli chodzi o dwudziestoletni rekord szefa – mruknął Phil pod nosem. Pewnie awaria systemu. Sprawdził wyświetlacz na centralce. STREFA 2 – migał napis. OTWARCIE DRZWI.

Nie do wiary! Ktoś tu się jednak włamał! Wyłączył światło w kanciapie i nakręcił czerwony filtr na latarkę. Chwytał swój pojemnik z gazem GOEC – jako że Preventive Security, Inc. nie miało pozwolenia na broń – i przekradł się na podrzędny chodnik transportowy.

Trzymał latarkę skierowaną w ziemię. Nie chciał wystraszyć intruza, miał zamiar go schwytać, choćby tylko po to, by pokonać nudę. Jednak wędrówka przez pogrążoną w mroku fabrykę napięła jego nerwy. A co, jeśli włamywacze są uzbrojeni? Po prostu uważaj i nie szarżuj, tłumoku. Rząd bezimiennych maszyn poprowadził go wokół hali produkcyjnej. W drugim końcu budynku (oznaczonym jako STREFA 2) dostrzegł otwarte drzwi.

Ktoś tu jest, bez wątplenia, zrozumiał. Ale kto chciałby się włamywać do cholernej fabryki tekstylnej? Co można stąd ukraść? Szpule nici?

Nieco dalej, gdy ruszył wzdłuż chodnika i minął kolejny zakręt, jego pytanie znalazło odpowiedź. Poważnie, czy te mendy są aż tak głupie? – zastanawiał się. Ktoś włączył oświetlenie przy automatach z kawą i przekąskami. Widział czyjś cień, pochylony nad jedną z maszyn. Złodziej drobniaków, wydało mu się oczywistą konkluzją.

Po co pracować, jeśli można żyć z obrabiania automatów? Gdyby dalej pracował w policji, sytuacja byłaby banalnie prosta, ale jego nowy szef wyraził się bardzo dosadnie w sprawie incydentów z włamywaczami.

– Pamiętaj, Phil, nie jesteś już Sędzią Dreadem, tylko zwykłym stróżem. Jeśli zobaczysz, że ktoś się naprawdę włamuje, wzywaj gliny i zabierasz się stamtąd. Żadnego zgrywania bohatera. Jezu, w tym stanie, jeśli ochroniarz zrobi krzywdę bandzirowi, który akurat popełnia przestępstwo, bandzirowi wnosi sprawę do sądu i wygrywa. Nie chcę żadnych pozwów ani odszkodowań do wypłacenia. Phil rozumiał jego punkt widzenia, zwłaszcza że nie miał ani broni, ani policyjnych uprawnień. Ale... nie znaczyło to, że nie mógł się trochę zabawić...

– Policja! – krzyknął. – Stój, bo strzelam!

– Niby z czego? Ze spryciówki? – odparł „intruz” i spokojnie odwrócił się w stronę Phila. A potem uśmiechnął się.

– Jak leci, Phil? Minęło sporo czasu, odkąd widziałem ulubionego syna Crick City. Pewnie nie zależy ci za bardzo na podtrzymywaniu kontaktów.

Phil nie mógł w to uwierzyć. Mężczyzna, który stał przed nim, był niski i otyły. W szklanej płycie automatu odbijała się jego łysina, a z górnej wargi straszyl wąs, przypominający uczeploną nosa

gaśienicę. Te cechy, w połączeniu z czystym, wyprasowanym mundurem policyjnym, wystarczyły, by Phil rozpoznał stojącą przed nim postać.

– Lawrence Mullins – powiedział. – Szef departamentu policji Crick City. Wyjawisz mi może, co tu, do cholery, robisz?

– A jak ci się zdaje? Robię sobie kawę – powiedział Mullins i uniósł parujący kubek.

Phil zamknął oczy i wziął głęboki oddech. Spokojnie, powiedział sobie. Tylko nie eksploduj.

Po czym, cóż, eksplodował.

– Włamałeś się do mojej fabryki tylko po to, żeby napić się cholernej kawy?!

Mullins zarechotał z aprobatą.

– Widzę, że nadal masz ten swój temperament. Dobrze, dobrze.

I, wiesz, naprawdę macie tu tanie zamki. Cholera, otworzyłem je szybciej, niż gdybym użył klucza.

Może byś też już schował to swoje Magnum w spreju, co? Biegają tu jakieś złe psy czy coś?

Phil westchnął.

– Szefie, proszę. Nie leć ze mną w chuja. Miałem zły dzień... a właściwie zły rok.

– Tak, słyszałem. Wszyscy w miasteczku wiemy o tej strzelaninie, kiedy byłeś jeszcze w miejskiej.

Ale o tym możemy pomówić później. Mądrze zrobiłeś, odchodząc z własnej woli, zamiast z nimi walczyć. Jak zaczynasz walczyć z wielkomięskim WSW, to masz przesrane. Wtedy naprawdę byłbyś w dupie. Kurwa, były gliniarz, który siedział w więzieniu... Nie dostałbyś nawet roboty przy czyszczeniu sraczy w Barze u Chucka.

Jeśli Phil nie lubił o czymś rozmawiać, to o tym, jak go wtedy wrobiono. Tym bardziej nie potrzebował słuchać ciętych komentarzy na ten temat.

– Szefie, słuchaj, fajnie cię widzieć i w ogóle, ale powiesz mi, czemu tu jesteś, czy tylko będziesz mnie dalej wkurwiał, popijając sobie kawę?

Mullins upił jeszcze trochę kawy, leciutko uśmiechając się zza wstęg pary.

– A więc to tego chcesz się dowiedzieć? Chcesz się dowiedzieć, co mnie tu sprowadza?

– Tak, szefie, właśnie tego.

– Cóż, jesteśmy przyjaciółmi, nie? Z dawnych lat? Cholera, praktycznie cię wychowałem. A kiedy usłyszałem o tej sprawie z WSW i o twojej nowej, szmatławej robocie w ochronie, cóż...

Obeszło mnie to, i tyle. Zdaję sobie sprawę, że nasze miasteczko nie jest wystarczająco godne, byś je czasem odwiedził, wiesz, powiedział "cześć" paru osobom, z którymi dorastałeś. Ale oczywiście wiem, że na pewno byłeś zbyt zajęty przez ostatnie dziesięć lat, przy tej całej wielkoświatowej pracy dla departamentu policji w metropolii. Porucznik wydziału narkotyków, taki miałeś stopień, co nie? Miałem, pomyślał powoli Phil. Ale nie mam. Już nie.

– Szefie, próbujesz wzbudzić we mnie poczucie winy? Dobra, więc nie utrzymywałem kontaktu.

Przepraszam. Ale nadal nie powiedziałeś mi, czemu wpięprzyłeś się na moją imprezę.

Mullins roześmiał się.

– Cóż, chciałem sprawdzić, czy nadal jesteś w formie, nie pracując już jako glina. – Tłusćcioch spojrział



na otwarte drzwi serwisowe, szczerząc zęby. – Całkiem niezła robota z wytrychem, co?

– Szefie!

Mullins miał z tego prawdziwą radochę.

– Dobra, Phil, dostosuję się do twojego poziomu. Tak naprawdę odwiedziłem tę zapyziałą fabrykę włóczki, ponieważ... cóż, chcę z tobą porozmawiać.

Mullinsowe zabawy w kotka i myszkę bardzo szybko robiły się nużące. Phil widział go po raz pierwszy od prawie dekady i już miał go dość. Niektórzy nigdy się nie zmieniają, stwierdził ponuro.

– Dobrze, więc chcesz ze mną porozmawiać. O czym? Szefie, powiedz mi, proszę, zanim dostanę wylewu.

Mullins dokończył kawę. Potem wyrzucił kubeczek do kosza.

Potem kupił milky waya w sąsiedniej maszynie.

Potem powiedział:

– Chcę ci zaproponować pracę w moim departamencie.

I na tym skończyły się wyjaśnienia Mullinsa. Oparte na wymijających wypowiedziach poczucie humoru było częścią jego ogólnej psychologii. Zawsze przedstawiał swoje zdanie, poprzestając na subtelnych uwagach. Phil urodził się i wychował w Crick City. Ojciec zwiął tydzień po jego narodzinach, a matka zginęła rok później, kiedy pralka, przy której pracowała, stanęła w płomieniach. Phil zatem wychował się u ciotki, która dostawała z tego tytułu pieniądze od władz stanu. Jediną osobą, jaką znał, przywodzącą na myśl ojca, był Mullins – odkąd ktokolwiek sięgał pamięcią – szef policji Crick City. Mullins musiał się już zbliżyć do sześćdziesiątki, ale dla Phila zawsze wyglądał tak samo, nawet kiedy przyszły porucznik chodził jeszcze do gimnazjum i przesiadywał po szkole na posterunku.

Mullins był porządnym człowiekiem, a przynajmniej równie porządnym, co każdy inny szef policji z zapadłej dziury. Crick City, zamieszkane przez dwa tysiące obywateli, miało nieco mniejsze potrzeby, jeśli chodziło o stróżów prawa, niż Los Angeles, a ponieważ nie zdarzały się tam raczej żadne poważne zbrodnie, ratusz nie miał też powodu, by wyznaczać nowego szefa policji.

Pod pewnymi względami Phil darzył tego człowieka szacunkiem.

Kiedy był mały i znajdował się w dołku, to Mullins zawsze miał dla niego słowa pociechy, choć prawda, że często szorstkie.

To Mullins trzymał go z dala od kłopotów. To Mullins opiekował się Philem, kiedy nikt inny nie mógł tego robić, i to również Mullins zachęcił Phila do pracy w policji.

Ale z drugiej strony...

Samo miasteczko wywoływało w Philu organiczną niechęć, a szef Mullins stale mu o tym przypominał. Crick City było zapyziałe i ubogie. Było Pułapką. Nikt tam nigdy niczego nie osiągał, nikt się nie wyprowadzał. Prawdziwa dziura. Kiepsko płatne zajęcia, wysokie bezrobocie, najniższy wskaźnik wykształcenia w stanie. Na dziurawych drogach królowały zardzewiałe półciężarówki – a inne, ustawione na pustakach, dekorowały obskurne obejścia przed drewnianymi chałupami. Jedyne

przestępstwa, które zdawały się tam regularnie powtarzać, to pijaństwo i awanturowanie się. Oraz najbardziej ikoniczne: znęcanie się nad współmałżonką. W sumie Crick City jawiło się jako nierozwiązywalny węzeł nędzy i beznadziei. Zapomniane miejsce, zamieszkane przez zapomnianych ludzi.

Phil nie chciał być jednym z nich.

Ale przecież było tylko jedno zajęcie, które chciał wykonywać...

Być gliną.

I oto pojawił się tu Mullins, niczym duch z poprzedniej dekady, i zaoferował Philowi pracę, którą odebrał mu Dignazio i jego kolesie.

Oczywiście praca w departamencie policji Crick City nie przypominałaby w niczym jego przydziału w Wydziale Narkotykowym.

Tam miał stanowisko, szacunek i posłuch, cele do spełnienia oraz ważne zadania, w których musiał w pełni wykorzystywać swoje wykształcenie i warunki fizyczne. Przejście stamtąd do policji Crick City było jak przesiadanie się z lamborghini do yugo.

Przestań narzekać, upomniał się. Lepsze to niż podbijanie karty w fabryce włóczki. Przynajmniej będzie wykonywał pracę, do której został wyszkolony.

Przynajmniej znowu będzie gliną.

Nie patrz w zęby darowanemu koniowi, pomyślał, nawet jeśli ten koń nosi mundur szefa policji.

Mullins nie zabawił w fabryce długo, ale to wystarczyło, by zasiać w umyśle Phila dość ziaren i sprawić, by miał o czym myśleć przez resztę zmiany.

– Zajrzyj jutro po południu na posterunek – powiedział okrągły mężczyzna – to jeszcze pogadamy.

– Tak zrobię, szefie. Dzięki.

– A, i uważaj na tych włamywaczy. Nigdy nie wiadomo, kto tu się włamie, żeby napić się kawy.

– Co jeden żart, to lepszy, szefie. Do zobaczenia jutro.

A teraz, wiele godzin później, zdawszy swój posterunek w fabryce, Phil przebijał się przez miasto w porannych godzinach szczytu, prowadząc ceglastoczerwone malibu rocznik '76. Kupił je za trzysta dolarów w Malibu Motors. Teraz, kiedy nie pobierał już pensji porucznika, było to najlepsze, co jego budżet mógł wytrzymać.

Jadąc do domu, nie mógł przestać myśleć o niespodziewanym pojawieniu się Mullinsa i robocie, którą mu zaproponował.

Jak by to było wrócić? Crick City, zastanawiał się. Jezu, już sama nazwa brzmi wieśniacko. Ciekawe, czy miasteczko się zmieniło?

Czy Chuck nadal był właścicielem Baru u Chucka? Czy nadal co sobotę wieczór nachlane po wizycie w lokalnej budzie ze striptizem Szallona Sallee wsioki ścigały się półciężarówkami po trasie? Czy kawa w Qwik-Stopie nadal była ohydna? Kto tam jeszcze jest z ludzi, których pamiętam? A później, bardziej ponuro: Kto umarł, odkąd stamtąd wyjechałem?

Tak, perspektywa powrotu do rodzinnej miejscowości rodziła wiele pytań. A... Vicki? Co z Vicki?

Piękność ze szkoły Średniej, jego pierwsza dziewczyna. Mogła wyjechać, ale zamiast tego postanowiła pracować dla Mullinsa, jedyna kobieta w lokalnej policji.

Ciekawe, czy nadal tam jest...

Ale później, kiedy zajechał swoim malibu na zaśmiecony parking, Phil poczuł, jak skręca mu się żołądek. Było jeszcze jedno pytanie, prawda? Wspominanie miasteczka i jego mieszkańców sprawiło, że przypomniał sobie o czymś jeszcze...

Głosy. No i...

Chata, pomyślał.

To miejsce nie miało nigdy innej nazwy. Po prostu...

Chata.

Czy Chata nadal tam stała?

A co więcej, czy faktycznie kiedykolwiek w niej był?

Przecież zaledwie parę godzin później poważnie zachorował.

Doktor powiedział, że tak ostra gorączka często powoduje delirium i halucynacje. Ciotka musiała pomyśleć, że oszalał, poza tym miał tylko dziesięć lat...

Może i oszalałem, stwierdził, wracając do tego zdarzenia myślami.

Boże Wszechmogący, mam nadzieję, że postradałem wtedy zmysły...

Ponieważ nieważne, czy mu się to tylko przywidziało, czy było prawdziwe, jest to jedyna rzecz, której Phil nigdy nie mógłby zapomnieć.

Chata, pomyślał raz jeszcze.

I ohydne rzeczy, które tam widział.